№ 12. Warszawa, dnia 13 (25) Marca 1874 r. Rok IX. — Tom X.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nwy 7).

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgeberta i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

BOHATERSTWO.

(Heroism—by Charles Kinsgley—London 1873).

(Dokończenie).

Prawdziwe bohaterstwo musi się opierać na poświęceniu i jest to pierwsza, zasadnicza jego cecha. Bez idei poświęcenia niema bohaterstwa, choćby nawet była cnota bardzo wysokiego znaczenia i takiem było pojęcie bohaterskości u starożytnych, takiem jest obecnie i być musi po wszystkie czasy, a wtedy nietylko filozofowie i poeci, ale najkorniejszego ducha prostaczkowie, najniższe, najmniej oświecone warstwy ludzkości widzą w niem najwyższą formę piękności duchowej. Na poparcie swego zdania autor angielski przytacza wzruszające przykłady poświęcenia—bohaterstwa, dokonanego za naszych już czasów przez osobistości nieuczone, niekształcone w filozoficznej mądrości świata, osobistości pochodzące z najniższych sfer angielskiego ludu. Pierwszą z kolei postacią jest kobieta, której życie i czyny szlachetne znane są czytelniczkom Bluszczu (kwartał IV roku 1872). Gracya Darling, mieszkanka samotnej skały przy posępnych brzegach Szkocyi, która najpierw skazuje się przez miłość dla starego ojca na odosobnione od świata życie wśród burzliwych fal oceanu i wyrzeka się zwolna wszelkich uciech i pociech kobiecego istnienia; która następnie wśród wichrów i gromów burzy nocnej, chwyta śmiało wiosło i rzuca się w łódce maleńkiej na ryczące grzbiety bałwanów, aby spieszyć z pomocą rozbitkom, ginącym na skałach—oto bohaterka!

Bohaterem jest niemniej ten prosty żołnierz angielski, który wzięty do niewoli przez Chińczyków niechce się upokorzyć przed niemi z uczucia dumy patryotycznej, i dając za powód, że „żaden Anglik nie padnie o ziemię przed Chińczykiem“ umiera pod razami, które powaliły go siłą— umiera jako bohater poświęcający się dla idei narodowej godnością Anglika. Następuje jeszcze kilka szlachetnych przykładów poświęcenia na lądzie i morzu, przyczem jednakże autor kładzie zastrzeżenie bardzo ważnego znaczenia. Koniecznym warunkiem poświęcenia musi być podstawa jego moralna, podnosząca czyn ofiarny ponad proste i bezużyteczne junactwo samochwalczej natury; oraz dobrowolne na ofiarę się wydanie. Gdzie fatum okrutne postawi nas na zrębie srogiej konieczności, tam już niema ofiary a następuje tylko obowiązek spokojnej godności, która jest dumą szlachetną i powinnością względem dostojności naszego ludzkiego ducha.

Ponieważ poświęcenie musi być dobrowolnem, trzeba zatem, aby było czemś wyższem nad obowiązek, który jest koniecznością moralnej tylko natury. Obowiązek tak krępuje ducha, jak niemoc fizyczna ciało, i dlatego nie jest ofiarą wierność ślubowanej miłości, zaprzysiężonej przyjaźni; nie poświęca się matka chowająca swe dziecko choćby wśród trudów i znojów, robotnik, który dokona sumiennie wydziału przypadającej na niego pracy. Jest to obowiązek, powinność — *wiąże* nas prawo etyczne, któremu musimy ulegać, bo przekroczenie byłoby już *winą*.

Nie łatwo przecież jest tu przeprowadzić linią odgraniczenia ścisłego, czem bowiem dusza jest szlachetniejszą, pogląd na życie wyższy, tem obowiązek podnosi się nam wyżej przed oczyma. Samolubna, małoduszna istota, tylko siebie na celu mająca, tylko własnych przyjemności, własnego używania chciwa, wszystko co dla drugich uczynić musi, już ofiarą nazywa, i jak Bałucki dał nam obrazek *Pracowitych próżniaków*, tak możnaby pisać komedyę za komedyą *o poświęcających się samolubach*. Różnica jest w tem, że jedni wysoko, drudzy nizko postawili ideał obowiązków ludzkich.

Kingsley objaśnia rzecz przykładem: — „Stać mężnie na stanowisku, którego bronić nam się godzi, stać choćby wśród niebezpieczeństwa najmocniej grożącego, póki tylko posterunek ów ubronionym być może, to nie poświęcenie a powinność prosta. Gdy przecież nie zbiegamy z niego wtedy nawet, kiedy obrona wręcz staje się niemożliwą, gdy umieramy na nim, nie chcąc unosić życia, już czyn przechodzi granice obowiązku i jestże wtedy tylko szałem wzniosłym?...“

„Wieki wydały o tem wyrok, sądząc owych Spartanów pod Termopilami, którzy „złączyli włosy płowe, aby umierać na brzegu morza“. Wydali się na zagładę i dlaczegóż przecież? Czy to były ofiary zwątpienia, bezużyteczne ofiary rozpaczy, czy też bohaterowie szlachetni, dokonywający czynu wielkiego? Czuli oni że przeznaczenie Grecyi jest związane z ich losami, że stoją w obec tłuszczy perskiej, jako przedni poczet swego narodu, straż przednia w walce niewolnika wschodniego z obywatelem swobodnym greckiej ojczyzny. Czuli, że im potrzeba ukazać w obec zastępów perskich, jak wielkim jest duch Grecyi, niezamarły duch dawnych bohaterów, szlachetniejszy i potężniejszy od ich ducha, nawet w godzinie klęski i ruiny. I dokonali, czego zamierzali—dokonali tego umierając spokojnie na przesmyku wązkim między przepaścią fal morskich, a twardą ścianą głazu, poświęcając się śmierci na ofiarę dobrowolną. Sprawili wrażenie moralne, które nie przeszło z chwilą jedną, nie przeminęło jak nikły obraz rzeczy zwyczajnej, śmierć starców, którzyby poumierali na łożach swoich. Uderzyli grozą uwielbienia nie tylko rzesze wojsk perskich, które oglądały ich trupy i widziały uciętą głowę Leonidasa, ale sięgnęli głębiej, aż do serca narodu perskiego i zatrzęśli niem. Odtąd też los wojny został roztrzygnięty, zwycięstwo pod Salaminą i Plateami było stosunkowo łatwem. Łatwem się stało w 150 lat potem i zwycięstwo Aleksandra Wielkiego nad Daryuszem; sprawiło to pięć kopców mogilnych, usypanych nad brzegiem morza greckiego, z ponad których podnosił się przed wzrokiem tłumów przerażonych wielki duch podniosłości greckiej.

„Ten legion bohaterów spartańskich rozstrzygnął o przyszłej cywilizacyi świata całego“ dodaje autor angielski i wmieściwszy jeszcze jeden przykład bohaterskiego poświęcenia się na śmierć pewną, wzięty z dziejów dzisiejszych wojny francuzkiej,

poświęcenia trzech pułków kawaleryi niemieckiej w bitwie pod Mars La Tour, snuje szereg dowodów pięknych, jak poświęcenie dla szlachetnej idei dokonane, nie zostaje nigdy czynem bezpłodnym. Nie zawsze bezpośrednia korzyść materyalna jest skalą, wedle której doniosłość historyczną wielkiego czynu mierzyć trzeba. A poświęcony zgon Rolanda pod Roncevaux, a ofiarna śmierć Bolesława Lignickiego w walce z nawałą Tatarską, to też podobne czyny bohaterstwa święcie płodnego.

Po jakich przecież szczeblach doskonałości moralnej wznosić się powinen duch bohatera, aby dojść do potęgi istotnie dobroczynnej, do wielkości nieśmiertelnej? Musi to przedewszystkiem być duch wzniosłości prostej, który działa w prawdzie uczucia poświęconego, który działa na szlachetnym gruncie miłości dla ludzi, lub idei. Bez czystej i miłosnej prostoty niema bohaterstwa a jest tylko jego wystawa teatralna, z próżności i chełpliwości przedsiębrana. Jest też to i bohaterstwo sceniczne, błahe, nędzne, rzadko kiedy dla ogółu korzystne, a jakże często zgubne, jak zawsze szkodliwe!... Dla takiej to teatralnej podniosłości, dla takiego bohaterstwa z szychowym galonem zbiega się z gruntu obowiązku i nieprowadzi się nic naprzód, a wszystko w chaos pogrąża. Możnaby pisać tomy całe przestróg moralnych w tym kierunku, tomy całe uczące tej karności ducha, która jest moralną wszelkiej wielkości podstawą. Dlatego też Kingsley słusznie upomina, że bohaterstwo nie może rozgrzeszyć z obowiązku. Spełń najpierw powinność, oblicz się z sumieniem swoim, czy nie masz pod tym względem zaległości żadnej, a dopiero weź na się wielkie i święte dzieło poświęcenia—ostrzega słusznie.

Nie znaczy to bynajmniej, aby nas od wielkich zadań małe zobowiązania wstrzymywać miały. Nie—potrzeba tylko znać prawdziwe powinności naszych znaczenie i wagę, ich stosunek wzajemny i prawa nasze duchowe, a wszystko uczciwie spełnić, z wszystkiego należycie wywiązać się zdołamy. Jak serca szczerze kochające wszystkie obowiązki miłości pogodzić umieją, tak dusze z szlachetnym pierwiastkiem bohaterskości prawdziwej potrafią zawsze w danej chwili, która do poświęcenia zawezwie, podnieść się do niego i spełniać czyn wielki bez nadwerężenia innych powinności swoich. Gracya Darling, umiała stać się bohaterką, kilkanaście żyć ludzkich ofiarą własnego życia ratującą, a przecież przez długie lata pełniła łagodnie i spokojnie proste prace rodzinne, przygotowywała się w cichem życiu poświęconej córki do dzielnego dzieła poświęcenia dla ludzkości i były to właśnie stopnie, w górę wiodące, po których duch jej podnosił się i ku wyżynie wstępował. Egoistyczna córka, nie byłaby zdolna wykrzesać nagle z serca zastygłego wielkiej iskry uczucia, które ją ku bohaterskiemu czynowi popchnęło.

Ale niemniej w obec tego czynu ofiary i zaparcia się, fałszywe pojęcie obowiązków córki nie stanęło jej na drodze, jak zapora wstrzymująca. Słysząc głosy ratunku wzywające, widząc istoty ludzkie chwytające się daremnie krawędzi skał, które im pomocy dać niemogły, nie zadusiła w sobie szlachetnego porywu miłości bliźniego tem rozumowaniem błędnem, że jej się godzi zachować dla obowiązków córki przedewszystkiem. Chrześcianka znała obowiązki miłości bliźniego, bohaterka poświęciła się dla nich pod natchnieniem wielkiego wzruszenia serca.

Tak rodzice w obec obowiązków dla dzieci, tak wszelka osobistość ludzka w obec zobowiązań serdecznych i rodzinnych postawić się powinna: jedno ukochanie i obowiązek jeden nie może wyłączać drugiego, inaczej wzniosła idea bohaterstwa musiałaby osamotnieć. Byłoby to ubożyć rodzinę przez fałszywe pojęcie jej praw, przez fałszywe pojęcie obowiązków które nakłada i zgodzić się na to nie można, choć zgodzić się trzeba z angielskim autorem że „źle jest zabierać chleb ustom dzieci swoich, aby go rzucać psom, a nawet aniołom“ (It is ill to take the children's bread, and cast it to the dogs, or even to the angels). Trzeba tylko chleb ten podzielić dobrze pod szlachetnem ducha natchnieniem, a przez błogosławieństwo anielskie powtórzy się zawsze cud nadgoplańskich wybrzeży: starczy chleba tak dzieciątkom jak i aniołom, i można odpowiedzić Anglikowi słowami psalmisty: — „Nie widziałem, aby dzieci sprawiedliwego żebrały kiedy chleba....“

Życie otacza każdą jednostkę kołem, którego kręgi są stopniowo coraz szersze. Kręgi te, to obowiązki; nie można bez winy i grzechu wyłamywać się obojętnie z tych, które się najbliżej nas zataczają, ale nie mogą i nie powinny to być więzy, zacieśniające nas w sobie. Czem duch wyższy, tem myśl i uczucie jego szerszem kołem promienieje: społeczeństwo, ludzkość to szersze kręgi w kole życia i jego powinności, kręgi do których człowiek wielkiego ducha ma niezaprzeczenie prawo, i które na odwrót mają prawo do niego.

Kingsley zakończa swoje studyum zwrotem pięknym, że sposobność do bohaterstwa istnieje zawsze, że nigdy jej nie braknie ludzkości i wraca się znowu po przykład do epoki pierwszych lat chrześciaństwa. Święci, zaludniający niebo wierzącego chrześcianina, to nowy poczet bohaterów—półbogów!

Czy przecież wątpić można—pisze Kingsley—że wiek, w którym tak wysoko podnieśli sztandar ideału i bohaterstwa, był wiekiem, który ze wszystkich epok czasów historycznych najmniej czuł w sobie wielkości bohaterskiej, najmniej miał polotu idealnego. Pierwsi chrześcianie rodzili się zatem, żyli, umierali pod wpływem najboleśniej tłoczącego ich materyalizmu. Filozofia, poezya, sztuka, życie rodzinne zamierały, lub walały się martwym już trupem wśród tych miast zepsutych, których obrazu nie można odtworzyć bez wstrętu, i w porównaniu z niemi, zepsucie i materyalizm naszych miast wielkich, wydaje się jeszcze prostotą i niewinnością arkadyjską. Któż czytając Petroniusza i Juwenela nie zostanie dziwnie uderzony myślą, że przecież pisarze ci żyli za czasu apostołów? Zastanowić się też trzeba nad zadziwiającym tym faktem, że może w tej samej godzinie, gdy orgia Trimalciona wrzała swą ucztą zwierzęcą, gdzieś w pobliżu kazał św. Paweł, i wyciągając nad rzeszą wierną ręce, dawał jej w komunii cudownej czystego swego ducha — dawał go nawet niejednemu z takich—św. Paweł to wskazuje — który jeszcze wczoraj grzązł w kale ziemskiego tylko używania, miał tylko zwierzęce pożądania i zwierzęce porywy.

Niema w dziejach ludzkości takich czasów — pisze Kingsley—niema parcia takiego otoczenie i okoliczności takich, wśród którychby duch ludzki z pragnieniem bohaterstwa w sobie, nie mógł rozwinąć bohaterskiej cnoty. Są — jak nam pokazał — bohaterstwa głośne i ciche, zarówno przecież jest czynnością heroiczną każde takie poświęcenie osobistości swojej, które z miłością dla ludzi i w myśli pożytku ludzkiego przedsiębrane, kogoś od złego zbawia, komuś dobro przynosi. Czy w sposób szlachetny umierać, czy w zaparciu się dostojnem wszelkich małości nizkich żyć przed oczyma ludzi dostojnem życiem niezachwianej godności, być Herkulesem, Gracyą Darling czy tylko matką taką, która chleb własnym trudem zdobyty, umie dzielić między dzieci swoje i te anioły niebieskie, które są miłosierdziem i litością dobroczynną w jej sercu żyjącą, byle tylko ofiary dokonywać i wysokie ideały w życie ludzkości wcielać, jest to zawsze bohaterstwa dostąpić i do bóstwa się zbliżyć, z bóstwem się spowinowacić.

M. Ilnicka.

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

W każdem z miast europejskich, zbiegłby się wnet tłum uliczników i ciekawych i eskortował tę osobliwszą w rodzaju swoim procesyę. W Ruszczuku nie zwróciła ona na siebie uwagi niczyjej. Przeszła spokojnie przez sam miasta środek, przeszła przez kręte ulice, dotarła do konaku, wkroczyła na podwórzec i weszła do wnętrza pałacu.. Jusbaszi, pamiętny jedynie na rozkaz paszy a nieświadomy form, nie pytał nikogo i nie meldował się nikomu. Krokiem posuwistym, o ile mu na to pantofle pozwalały, sunął wprost na pokoje do komnaty audyencyonalnej, otworzył drzwi i wprowadził najprzód, osobę własną, za nią doktora na noszach, za doktorem paki na grzbietach żołnierskich.

Sefer pasza, równie jak i Zia pasza, na chwilę, oniemieli ze zdumienia. Pierwszy z nich rychlej do opamiętania przyszedł, nadął się, poczerwieniał i wrzasnął:

— *Eszek*!...

To znaczy: oślel...

Jusbaszi (kapitan), wyraz ten usłyszawszy, zatrzymał się, odsalutował i stanął jak wryty.

— Co to znaczy?... co to jest?...—krzyknął pasza.

— To—odparł jusbaszi, zwracając się i ręką ukazując—hekim baszi w pozycyi uregulowanej, a tamto pieczęcie.

— Rozwiązać mi go natychmiast!...

Klasnął w dłoń kilkakrotnie. Różnemi naraz otworami, którychby się ani domyślać można, wpadło służby białej i czarnej huk. Pasza służbie rozkaz powtórzył. Rzucono się do doktora, rozwiązywano węzły; jeden ze sprytniejszych wpadł na myśl rozciąć sznury, wydobył z zapasa nóż, pociągnął nim i w chwili jednej wyzwolił go z więzów, w których pozostawał dłużej aniżeli godzin czterdzieści ośm.

Podczas kiedy się wyzwalanie doktora odbywało, pasza zwrócił uwagę na paki i kazał sobie jedną pokazać.

— Co to za pieczęcie?...—zapytał groźnie jusbaszi.

— O—odpowiedział zapytany, palcem na znaki wskazując.

— Hm!...—mruknął pasza i: precz mi z tem!... — krzyknął. Precz!... Jusbaszę za drzwi wytrącić!.... W kark go!... W kark go!...

Służba poskoczyła. Biedny jusbaszi, Bogu ducha winien, nagiął się i biorąc w kark raz po raz, krokiem posuwistym, o ile mu na to pantofle pozwalały przemaszerował przez galeryę, przez podwórzec cały, wyszedł za bramę i zatrzymał się. Za nim wynieśli się żołnierze, podkomendni jego. Za bramą i oni zatrzymali się także. Jusbaszi wyprostował się.

— Pluton... formuj się!...—zakomenderował.

Żołnierze się uszykowali.

— Równaj się!...

Wyrównali się.

— Baczność!..! w prawo!...

Zwrócili się w prawo.

— Prawe ramię na przód! krok podwójny! marsz... marsz!...

Jusbaszi zajął miejsce, które mu regulamin wyznacza, obok podofficera, i poprowadził oddział, gdzie należało.

Komu się scena powyżej opisana przesądną wydaje, niech wie o tem, że w armji tureckiej, oficerowie do stopnia kapitana włącznie, są istotami podległemi karze cielesnej. Biją ich na pokładane i to im bynajmniej honoru wojskowego nie nadwerężą, co służyć może za dowód, że honor jest to rzecz względna, zależna całkowicie od tego, jak gdzie się nań zapatrują. Jusbasza co doktora przyeskortował, pomimo, że się nabrał w kark od fagasów Sefera paszy, nie stracił przez to ani znaczenia ani powagi w oczach podkomendnych swoich.

Służba uprzątnęła nosze, paki, okrawki sznurów, oddaliła się i w komnacie audyencyonalnej pozostał doktór w obec dwóch paszów.

Doktór z więzów uwolniony, stanąwszy na nogach własnych, zatoczył się, oprzeć się o ścianę musiał; blady był, oddech miał krótki, z twarzy biło znużenie wielkie.

Postrzegł to Sefer pasza.

— Usiądź—rzekł.

Doktór krokiem chwiejącym zbliżył się do dywanu i usiadł.

Pasza w dłonie klasnął. Kilka postaci we drzwiach się ukazało.

— Starego bordeaux i wody świeżej!...

Doktorowi, na wyrazy te, twarz się rozjaśniła, czuł bowiem pragnienie takie, iż zdawało się mu, iżby cały Dunaj wypił, gdyby jeno ustami go dotknął.

Za chwilę przyniesiono butelkę bordeaux, karafinkę wody, szklankę i kieliszek. Pasza rozkazał tacę z tem wszystkiem postawić obok doktora, który bez ceremonii nalał sobie do szklanki wina, dopełnił

wodą i wlał w siebie płyn rubinowy. Powtórzył to raz drugi i usta obtarł. Zrobiło mu się błogo, rozkosznie prawie. Czuł w sobie powracającą rzeźwość i siłę. Z wyrazem wdzięczności w oczach na paszę spojrzał, i tem go, po tem dopiero spojrzeniu, pytaniem zaczepił:

— Co to się stało?...

— Nie wiem.

— Możeś się opierał, gdy ci mudir zarnicki rozkaz mój zakomunikował?...

— Mam więc zaszczyt znajdować się w obec Sefera paszy?...—zapytał doktór.

— Nie inaczej. Opierałeś się przeto?...

— Bynajmniej. Od razu oświadczyłem się z gotowością jechania do Ruszczuku, lecz mudir puścić mnie nie chciał inaczej, jak pod strażą, z pakami i, jak się wyrażał, w pozycyi uregulowanej, co znajdować się miało wyraźnie w rozkazie waszej ekscellencyi.

— A co!—rzekł pasza do Zia paszy. Czegom się obawiał, to się stało. Zbytek gorliwości, połączony z nierozumieniem rzeczy.

— Zmienić mudira—szepnął Zia pasza.

— I posłać na miejsce jego jeszcze gorszego. Ha!—ramionami ruszył. Ten przynajmniej gorliwy.

Pomilczał przez chwilkę, a po chwilce:

— No, odezwał się, głos podnosząc i do doktora mowę zwracając. Pomyłka... nieporozumienie. Musiało jednak zajść tam coś z waszej strony... jakiś powód. Dałeś mudirowi jakiś powód do tego, że ci nie ufał.

— Jakiż powód! Jestem lekarzem... leczę.

— Jesteś lekarzem... hm. Masz dyplom?...

— Mam...

— Chiałbym go obejrzeć.

— Nie przewidując, że taka będzie wola waszej ekscellencyi, nie wziąłem go ze sobą.

— A przecież, podchwycił Sefer pasza.

I zamilkł nagle, jakby się za język ugryzł. Domyślił się snadź, że wyraz „dyplom“ był głównym jeśli nie jedynym powodem tego, co nazwał pomyłką, nieporozumieniem, i nie chciał i tak już skompromitowanego urzędnika kompromitować bardziej jeszcze.

— Przecież... radbym dyplom widzieć nie dla tego bynajmniej, ażebym miał ci nie dowierzać, ale, jak mi ze stron różnych donoszą, wkradać się poczyna do kraju, pod postacią lekarzy, szarlatanerya, szkodliwa zarówno i lekarzom i ludności. Zaprowadziłem w Ruszczuku komissyę sanitarną.

— Gótów jestem podchwycił doktór — nie tylko dyplomy moje waszej ekscellencyi przedstawić, ale jeszcze przed komisyą do *colloquium* stanąć. I gdybym był wiedział.

— W tym przykrym wypadku — przerwał pasza—króry cię spotkał i nad którym mocno boleję, przyznać potrzeba że wielka część winy ciąży na tobie samym.

Doktór pytającym i zdziwionym nieco wzrokiem spojrzał paszy w oczy.

— Tak, niezawodnie. Wszak przybyłeś do kraju od lat dwóch, jeśli się nie mylę?...

— Od lat dwóch blizko.

— Czemużeś się mi nie przedstawił.

Pytaniem tem rozpoczynała się już indagacya. Doktór znalazł na nie odpowiedź konwenansową.

— Nie chciałem być natrętnym i zajmować ekscellencyę waszą, osobą moją.

— Hm. Jest to odpowiedź dla odpowiedzi. Zajmują mnie tu osobami swojemi ludzie wszelacy, przystęp do mnie otwarty, ja rad jestem każdemu, co się na coś przydać może. Mogłeś, powinieneś był o tem się dowiedzieć, być u mnie, swoje kwalifikacye przedstawić.

Doktór zrobił giest, oznaczający przyznawanie paszy racyi.

— Byłbyś się najprzód zabezpieczył przeciwko przykrościom, a potem, byłbym ci może wskazał punkt wygodniejszy, jak Zarnica. Dla czego osiadłeś w Zarnicy, nie zaś gdzie indziej?...

Pytanie to zmieszało doktora nieco. Łatwo było na nie odpowiedzieć, powołując się na stosunki familijne żony. Lecz powoływać się na stosunki te, znaczyło doktorową odsłaniać, demaskować ją w sprawie, w której ona główną odgrywała rolę. Odpowiedział więc:

— Wszystko dla mnie było jedno. Wiedziałem o braku lekarzy ogólnym.

— Masz tam podobno teścia? — zagabnął pasza, patrząc mu pilnie w oczy.

— Tak, teść jednak nie wpływał i wpływać nie mógł na decyzyę moją osiedlenia się w Zarnicy... To człek prosty.

— Edukował synów za granicą?

— Jeden był przez lat pięć w Odesie, drugi przez trzy lata w Bukareszcie.

— Hm — mruknął pasza. Gdybyś się był mi przedstawił, byłbym zapewne obmyślił dla ciebie posadę urzędową, zapewniającą znaczenie, awans, karyerę.

— Wasza ekscellencya wie niezawodnie o tem, że są ludzie ambitni i nie ambitni, pierwsi cisną się na drogę karyery, drudzy nie. Ja należę do rodzaju tych ostatnich. Lubię ciszę i spokój, przytem zdrowia nie posiadam świetnego.

— Wiem, że odpowiadasz trafnie— odrzekł pasza z lekkim akcentem złego humoru. Ale wiem i o tem jeszcze, że się w Zarnicy ludzie garną do ciebie.

— Bom tam lekarz jedyny.

— To nawet zwróciło uwagę zwierzchności miejscowej.

— Zanim się w Zarnicy osiedliłem, ludzię garnęli się do baby Mussy i zwierzchności to nie niepokoiło, pomimo że babo Mussa lekarzem nie jest.

— Ale jest Turkiem, a tyś Bulgar.

— Czy ja temu co winien, wasza ekscellencyo?

Pasza wargi przygryzł. Myślał przez chwilę. Znać było po nim, że waha się, czy ma prowadzić rozmowę dalej, czy nie. Widocznie, miał ochotę zadać doktorowi zapytań jeszcze kilka, uznał jednak za lepsze dać temu pokój, snadź dlatego, że chodziło mu tylko o poznanie człowieka, który na siebie podejrzenie ścigał. Tego dopiął. Poznał doktora. Wiedział co o nim trzymać. Dalsza przeto rozmowa, wydała się mu gadaniną bezużyteczną. Zamknął więc konferencyę rodzajem pewnym nauki moralnej, której wypowiedzenie za właściwe uważał.

— To nieszczęście — rzekł—że niektórzy tak się stawiają, jakby się poczuwali do winy z tego powodu, że przyszli na świat nie Turkami ale Bulgarami. W tem złe całe, to bowiem neutralizuje działalność zbawienną rządu, mającego intencye jaknajlepsze. Poczuwający się do winy okazuje opór i wzbudza nieufność: cóż przeto dziwnego, że zwierzchność ma w podejrzeniu Bulgarów, takich zwłaszcza co posiadają wartość niejaką i do których garnie się ogół! Trzeba, żeby Bulgarzy tacy szli drogą prostą, łączyli się z rządem, pomagali mu, a będzie im z tem dobrze. Jedź przeto do domu, poszlę tam mudirowi rozporządzenie, ażeby cię nie niepokoił więcej i... weź słowa moje pod ścisłą rozwagę.

Na przemowę Sefera paszy dużo było do odpowiedzenia. Doktór jednak powstrzymał się od odpowiedzi głównej. Nie mógł atoli powściągnąć uśmiechu, który mu się przez oblicze przewinął, a miał wyraz niekoniecznie radosny. Uśmiech ten nie uszedł uwagi Sefera paszy, dodał bowiem na odchodnem, gdy mu się doktór z uszanowaniem kłaniał:

Rząd jest łagodny i cierpliwy, ale gdyby się potrzeba okazała, potrafi być surowym.

Doktór znał ten frazes stereotypowy, powtarzany, w razach podobnych, zawsze jednakowo.

Sefer pasza powiódł okiem za odchodzącym i kiedy ten znikł za drzwiami, zwrócił się nagle do Zia paszy, który przez czas cały milczał i obserwował:

— Słyszałeś i widziałeś?

— Ewet, effendim—odpowiedział zapytany głowę pochylając.

— Cóż więc?.... Jakci się wydaje ten Bulgar? Wyraz ostatni wymówił z przyciskiem złośliwym.

— Nie będzie z niego pociechy wielkiej.

— O tem ani myśleć. Chodzi tu o co innego.... Taki jeden szerzy dokoła zarazę, którą zniszczyć należy, a, żeby ją zniszczyć, wiedzieć naprzód potrzeba do jakiego się ona rozwinęła stopnia, kogo się mianowicie czepiła. Zadanie nasze jest także lekarskiem i wymaga rozwagi, ostrożności, ażeby przypadkiem, i fałszywej amputacyi nie zrobić i zarodków choroby nie zostawić.

— Prawdę mówisz, effendim.

— Owóż—tu się pasza na chwilę zamyślił—trzebaby tam najprzód posłać kogoś przebiegłego, coby się na gruncie rozpatrzył i wskazówki nam dał, a następnie... zobaczymy. Może wypadnie pojechać tobie samemu.

Zia pasza odpowiedział głowy skinieniem.

— Na mudira się spuszczać nie można, to osły... osły!... osły!...—powtarzał Sefer pasza z gniewnym naciskiem.

XV.

Człowiek któremu źle z oczu patrzy.

Nie zdziwiło to doktora bynajmniej, gdy, wychodząc od Sefera paszy, spotkał na galeryi Stojana, który mu głośne a niespokojne: „I cóż tam“ w słuch cisnął; ale tak jego, jak Stojana zdumienie było wielkie, gdy w bramie zeszli się oko w oko z mister Waytonem

— Phu! — krzyknął ten ostatni, rękę podnosząc i cofając się kroków kilka w tył. Toś, doktorze, nie na samym dnie podziemnego więzienia?.

— Utrzymałem się jakoś na powierzchni naziemnego—odrzekł doktór półżartu tonem. Ale skąd wiesz o więzieniu mojem?

— O więzieniu nic nie wiem. Dowiedziałem się tylko o aresztowaniu i związaniu i pośpieszyłem z Gałacu z wizytą do Sefera paszy.

— Dowiedziałeś się więc w Gałacu... jak?...

— Nie przez gołębia...

Doktór się domyślił, w jaki to sposób wiadomość ta mister Waytona dojść mogła, rzekł więc:

— No, na ten raz skończyło się pomyślniej, jak spodziewać się było można, skończyło się bowiem na spotkaniu z tobą, przyjacielu.

— Doskonale, panie doktorze! — zawołał Anglik. Pokazuje się, że Zarnica stała się wielkim światem.

— Z czego?...

— Z tego że ty, człowiekowi co ci nic nie zrobił złego, komplimenta ciskasz w żywe oczy.

— Otóż, bez komplimentów powiem ci, że nie mogło być dla mnie nic pożądańszego, jak dostać się z przed oblicza paszy, przed twoje. Czy nie wierzysz temu?...

— Jakbym wierzyć nie miał!...

— Nie stójmy jednak na ulicy

— Zajechałem do tej samej lokandy, w której nocowaliśmy lat dwa temu—rzekł Anglik. Idźcie tam poczekajcie na mnie trochę... ja się niebawem tam znajdę.

— Czemuż nie mamy iść razem—zapytał doktór.

— Bo ja... z wizytą do Sefera paszy.

— O?...

— Postanowiłem, w tym celu przyjechałem, dotrzymać muszę. No... czasu nie traćmy... Do zobaczyska.

Uścisnął dłoń doktora, podał rękę Stojanowi, głową im jeszcze na pożegnanie kiwnął i do pałacu się udał. W chwil kilka później znajdował się w licznem gronie postulantów, oczekujących na kolej posłuchania. Usiadł wyprostowany i czekał. Nie ruszał się, nie krzywił, nieokazywał najmniejszego niecierpliwości znaku, zdawało się, jakby sposągowiał na czas ten cały, póki adjutant dyżurny nazwiska jego nie wygłosił. Usłyszawszy nazwisko swoje, podniósł się i uśmiech sarkastyczny na brodzie mu osiadł.

Uśmiech ten—na brodzie, *nb.*—zaniósł ze sobą do komnaty audyencyonalnej. Sefer pasza prosił go grzecznie siedzieć. Mister Wayton zasiadł obok potentata i zachowywał milczenie.

Tylko ten uśmiech, jakby mówił za niego.

Sefer pasza oczy to podnosił, to spuszczał. Widział przed sobą Anglika, którego oczy patrzały seryo, którego twarz miała nastrój grzeczności konwencyonalnej, którego postawa zakrawała nieco na tę tak pospolitą w Anglikach oryginalność i w którego obecności było mu jakoś nijako. Miał coś dziwnego w brodzie swojej. Siedział i milczał a broda mówiła. Co ona mówiła, to trudnoby na wyrazy przełożyć. Paszę niby kłuło, niby gniewało—zdecydował się wreszcie lody milczenia przełamać.

— Czemuż mam przypisać zaszczyt wizyty pańskiej?—zapytał z ugrzecznieniem.

— Pragnieniu oglądania ciebie, ekscellencyo.

— Może czem bym usłużyć mógł?...

— Nieskończenie obowiązany. Nie potrzebuję usług żadnych.

— Pan wojażuje dla własnej przyjemności.

— O nie!—podchwycił Anglik, z tym akcentem

jaki sami tylko Anglicy odpowiedzi tej nadać umieją że zdaje się jakby obelgę odpierali. O nie! wojażuję dla interesów.

— Dla jakich, jeżeli zapytać wolno?...

— Dla... bezimiennych... dla swoich, dla twoich. Interesuje mnie wszystko, w obecnej zaś chwili, specyalnie, reformy mające Turcyę uszczęśliwić. Przypatruję się im z blizka i zdaleka, z przodu i z tyłu, z góry i z dołu.

— I jakże? i cóż? postępujemy?—przerwał pasza.

— Hm...

— Anglia z nas zadowolniona?...

— Tak dalece, że niebawem śmiechem parsknie.

Policzek, wymierzony publicznie, nie zmieszał by paszy tak, jak dwa wyrazy ostatnie, powiedziane spokojnie i od niechcenia. Oczy spuścił, odchrząknął głucho i zdawało się jakby czekał na komentarz objaśniający parsknięcie śmiechem. Mister Wayton jednak komentarza nie czynił żadnego. Milczał, trzymając kapelusz między kolanami i przebierając po takowym palcami. Pasza wzrok podniósł. Wydało się mu, że każdy włosek rudej brody mister Waytona przybrał postać ludzką i od śmiechu zachodził. Pasza dałby wiele, żeby się Anglika tego pozbyć, nie miał jednak odwagi z pożegnalnym frazesem do niego się zwrócić. Człowiek ten opanował go—w jaki sposób?—czy w skutek wpływu magnetycznego, potęgę którego poświadczają niektórzy? czy też, po prostu, mocą tej przewagi moralnej, jaką umysł rzeczywiście nie podległy ma nad umysłem ujarzmionym w foremki jakoweś? Jestto kwestya do rozstrzygnięcia trudna, rozjaśniająca się jedynie w ten chyba sposób, że dla Sefera paszy człowiek niepodległy był dotychczas zjawiskiem niewidzianem. Otaczał go serwilizm, bądź jawny, bądź zamaskowany. Nie znał, nie pojmował ludzi innych, tylko wysługujących się tu lub ówdzie, dla tych lub innych widoków, w taki lub ów sposób, dających powodować się interesowi, nigdy „bezimiennemu“, z jakim mister Wayton wystąpił przedeń. Nie dziw przeto, że mu zaimponował, że Sefer pasza nie odważał się w oczy mu śmiało spojrzeć. Tem jedynie tłumaczymy sobie zmieszanie się paszy, które wszakże koniec końcem, o tyle przeminęło, że się dostojnik odezwał:

— Spodziewam się, że pan znajduje się w dobrem zdrowiu.

Na słowa te mister Wayton uśmiechnął się, nie brodą już, ale obliczem całem i odrzekł:

— W doskonałem, w świetnem, w jaknajświetniejszem. A ty, ekscellencyo?...

— O! co do mnie... dziękuję panu.

Tobie rujnować muszą zdrowie troski, frasunki, praca.

Wyrazy te syczały i gwizdały w uszach paszy.

— Nie będę ci więc zabierał czasu drogiego, ekscelencyo. Chodziło mi o to jedynie teraz, żeby oglądać ciebie, reformatora. Później zaś może mi wypadnie rozmówić się z tobą. Czy mogę liczyć na to, że mnie dopuścisz przed oblicze twoje?

— O!...—zawołał pasza, uradowany że go Anglik opuszcza nakoniec. Przystęp do mnie otwarty dla każdego, a cóż dopieroż dla pana. Najmilej mi będzie widzieć go, ile razy panu na myśl przyjdzie odwiedzić mnie.

Pożegnał Anglika jaknajgrzeczniej i po odejściu ego zadumał się głęboko.

Mister Wayton udał się wprost do mehany, w której spodziewał się zastać doktora i Stojana. Jakoż zastał ich. Czekali. Doktór wypoczywał na kanapie, przybrawszy taką pozycyę, któraby powróciła jak najrychlej równowagę w organizmie jego, nadwerężoną przez pozycyę uregulowaną.

— Cóż to było? co się stało?—zapytał wchodząc.

Doktór opowiedział zdarzenie całe, Anglik wysłuchał z uwagą i odpowiedział:

— To początek jakiegoś końca premedytowanego. Trzeba, żebyście się na ostrożności mieli.

— Mamy się na ostrożności, o ile to możliwe—odparł doktór.

Anglik ramionami ścisnął i zwracając się do Stojana, przemówił do niego słów kilka po bulgarsku. Aczkolwiek słowa te pokaleczone straszliwie i poprzekręcane były, Stojan je zrozumiał i zawołał:

— Ot, pierwszy raz jak należy po angielsku przemówił!...

— Wszak to po bulgarsku—zauważył doktór.

— Gadaj ty mi!... Jakbym to ja się nie znał! Byłem w Bukareszcie lat trzy.

Po intermezzo tem, doktór spytał Anglika, co znaczyła wizyta jego u paszy.

Miałem zamiar ciebie z więzów wyzwolić; gdy to jednak okazało się niepotrzebnem, nie mogłem się powstrzymać na pochyłości, po której się toczyłem i spadłem na same dno, przed oblicze jego ekscellencyi.

— Mówiłżeś z nim co o awanturze mojej?...

— Ani słówka.

— O czem że?...

— O niczem.... Probowałem na nim wpływu brody mojej.

To mówiąc, brodę dłonią z pod gardła w garść ujął i pogładził.

— No?—doktór na to śmiejąc się.

(Dalsz ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Karnawałowe echa.—Bale młodzieży oraz ich wpływ na młode umysły.—Fabryka papierosów rządowe i zatrudnienia kobiet.—Stowarzyszenie nauczycielek. — Rozrywki w poście. — Odczyty publiczne: Asnyka, X. Goliana, Zacharyasiewicza i inne. — Odczyty w muzeumu techniczno-przemysłowem, odnowiony ich charakter.—Nadzieja szkoły rysunkowej dla kobiet.—Wieczorek deklamacyjny, oraz nieco o deklamacyi.—„Andrea” Sardou i „Rognieda” Olizarowskiego. — O teatrze Krakowskim.—Szpital dla dzieci.

Kraków w marca 1874.

Każda pora ma swoje rozrywki. Przebywszy szumny karnawał, z wielkim postem wstąpiliśmy w epokę odczytów, koncertów, teatrów i t. p. zabaw. Tak dzieje się zawsze w naturalnym rzeczy porządku, ale nie zawsze na tem polu widzimy takie ożywienie, jak właśnie w tej chwili. Karnawał mieliśmy świetniejszy, aniżeli można było spodziewać się po dwóch klęskach, jakie równocześnie w ubiegłym roku dotknęły Galicyę: po cholerze i przesileniu giełdowem. Oprócz wielu balów prywatnych mieliśmy równą niemal ilość publicznych zabaw. Weszło bowiem w zwyczaj u nas tańczyć dla cierpiącej ludzkości i na najrozmaitsze cele urządzane są bale: to na straż ochotniczą, to na szpital dla dzieci, to na studentów i t. p. Szczególniej też studenci zasmakowali w urządzaniu tańców na swą korzyść. Każdy wydział uniwersytetu daje bal dla siebie, i w tym roku jedni jeszcze teologowie nie poszli za ogólnym przykładem. A jednak cóżby w tem było nadzwyczajnego, żeby studenci wydziału teologicznego naśladowali przykład prawników, medyków, akademików, techników i urządzili publiczną żebraninę za pomocą tańców, a potem odczytów, śpiewów, koncertów, teatrów. Pisałem już wiele razy przeciw podobnemu systematycznemu próżniactwu młodzieży, która najdroższy czas zimowego półrocza trwoni na organizowanie zabaw dobijając się do kieszeni łaskawej publiczności. Rezultat z tego taki, że młodzież uczy się żebraniny, a uważa się przedwcześnie za dorosłą; co zaś jej zostaje czasu od zabaw, zużywa na tworzenie komitetów wydziałowych, na odezwy o wsparcie ich celów. Wydaje jej się bowiem, że jest instytucyą publiczną, że jej stowarzyszenie jest jakąś akademią umiejętności, mianuje też członków honorowych za pieniądze, ogłasza budżety, plakatami oznajmia o swych zgromadzeniach i zapadłych uchwałach, a nawet często na bardzo nędzne odczyty własne zwołuje liczną publikę i drukuje potem te młodociane utwory. Bierze też ona inicyatywę w stawianiu pomników, sądząc zapewne, że na uczczenie poetów naszych kolumną granitową czy spiżową wystarczy parę tysięcy złotych i że to dzieło do niej należy. Słowem młodzież nasza bawi się całą zimę, zaniedbując studyów, według świadectwa profesorów nie czyta prawie żadnych poważnych dzieł i wychodzi z uniwersytetu wyuczywszy się kursu na pamięć dla zdania egzaminu. Z tego powodu mało bardzo przybywa ludzi wykształconych, niewielu i potem zajmuje się ruchem naukowym.

Niezawodnie niektóre z celów, na jakie młodzież zbiera pieniądze, zasługują na względy publiczne i dziwić się tylko potrzeba, że nie znajdujemy ludzi, coby chcieli zastąpić studentów, coby podjęli pracę organizowania balów i zabaw, a młodzieży dostarczali funduszów na stypendya lub książki. Dzieje się jednak wprost inaczej. Ludzie dorośli urządzając jakąś zabawę, a nawet akademia na swych publicznych posiedzeniach używa młodzieży do zajęć, ani dla jej stanu, ani dla jej wieku niestosownych. Wszystkie takie zabawy z inicyatywy starszych poczęte, powierzane są znowu młodzieży, ona troszczy się o sale, froterów, stołki, kwiaty, bukiety, kandelabry, ona sprzedaje bilety, wprowadza gości, usadawia każdego. Przywyka w ten sposób do zbytkowych wystaw, do życia nad stan, do oddawania drobnych przysług, nadskakiwania ludziom. Wszystko to zaś razem wzięte, psuje jej charakter, usposabia ją w przyszłości do nepotyzmu, starania się o protekcyę panów, do trzymania się tej klamki pańskiej, która jedynie pozwoli jej zachować przyzwyczajenia do wystawności i pewnego przepychu. Dziś dobroczynność publiczna daje jej sposobność urządzania balów w wielkich salach, potem dwór magnacki stanie się potrzebą ich życia. Skromność potrzeb, właściwe klasie średniej, oszczędne używanie przyjemności nie zdoła zadowolnić; młodzieniec staje się albo znudzonym, czy udającym znudzonego, albo wiecznie niezadowolonym ze swego stanu; puszcza się na grę giełdową, lub wątpliwej moralności przedsięwzięcia i kończy bankructwem.

Zapewne przesadną byłoby rzeczą przypisywać podobny stan, tak u nas zwykły, powszedni, jedynie zabawom przez młodzież urządzanym; ale jest to jedna z rozlicznych przyczyn, które składają się na chorobliwe objawy społeczne. Poprawa wyjść może jedynie od młodego pokolenia; jak każda młodzież ma i nasza pociąg do życia, do zapału, poczciwość serca i pewien ideał nadziei. Dary te marnują się często i zanadto często przez fałszywe tony społeczne; przedewszystkiem więc reformę trzeba zacząć od tego, aby młodzież kierować w innym duchu, aniżeli to dotychczas ma miejsce, a w takim razie wyszedłszy w świat z nowemi poglądami, popchnie go ona na nowe tory, jak przeczuwał nieśmiertelny poeta.

Bądź co bądź bale tegoroczne były licznie odwiedzane, brylowało na nich kilka przybyłych piękności, zauważano nawet większą wystawę brylantów niż lat poprzednich, bogatsze stroje, czego właśnie w tym roku mniej się można było spodziewać. Ale też ruch karnawałowy podtrzymywany był głównie przez osoby przybyłe z dalszych okolic kraju. Przybysze ci przyczyniają niezawodnie bogactwa miastu, wywołują znaczniejszy ruch handlowy i w skutek tego liczba sklepów zwiększa się od lat paru, wystawy w oknach stają się piękniejszemi, większa łatwość znalezienia przedmiotów zbytku i elegancyi lub gustu; domy też odświeżają się, ozdabiają, odmładniają. Wzrost ten jednak nie rokuje trwałości i nie może być powszechnym we wszystkich kierunkach. Miasta wzrastają głównie przez ożywienie ruchu umysłowego, a dopóki Kraków będzie fortecą, nie może w nim powstawać wiele fabryk, właściwie nie powstają żadne fabryki. Dobrze też wiedzie się stosunkowo tutejszym kupcom, mianowicie handlującym towarami służącemi do wyżywienia; ale wiele jest bardzo biedy i niedostatku, który wzmaga jeszcze bardziej coraz rosnąca drożyzna. Z fabryk przybyła tu właśnie jedna tylko od lat paru, zasługująca na uwagę i wielce pożyteczna dla biednej ludzkości, to jest rządowa fabryka cygar i papierosów. Daje ona zarobek 500 kobietom i dzieciom, a z czasem może się rozwinąć tak, iż 1,000 robotnic znajdzie tu zatrudnienie. Płaca dzienna wynosi dla początkujących 35 centów, ale wprawniejsze robotnice zarabiają do 80 lub 90 centów. Jest to zarobek, jakim tu szwaczki nawet nie mogą się szczycić, to też fabryka ściąga do siebie liczne kobiety i jak utrzymują wpłynęła po części na ulepszenie płac w innych zawodach pracy żeńskiej, mianowicie w klasie służących. Jakoż zawody kobiece są tu bardzo ograniczone do najprostszych. Służba w domach prywatnych prawie wyłącznie żeńska; zaledwie kilkanaście zamożniejszych rodzin trzyma kucharzy, kuchnie więc są wyłącznie jak wszędzie dziedziną kobiet. Płaca bardzo ograniczona, tylko że głodu cierpić nie trzeba. Służba pokojowa również żeńska po

większej części. Prócz tego kobiety stanu prostego zajmują się praniem bielizny. Szwaczki znajdują łatwy zarobek, bo stosunkowo mało osób nawet średniej zamożności umie obchodzić się bez ich pomocy. Płaca szwaczki bywa szczupła, aczkolwiek wystarczająca, ponieważ zwykle połączona z wiktem. Wziąwszy jednak na uwagę brak roboty i święta, rzadko kiedy można spodziewać się, aby szwaczka zdołała co odłożyć na czas choroby i starości. Naprawa losu bardzo tu utrudniona i nawet zdolne bez pomocy nadzwyczajnych zdarzeń nie mogą dojść do własnego zakładu lub magazynu modnego. Teatr rekrutuje rzadko miejscowe siły, a z krakowianek za mojej pamięci jedna śpiewaczka panna Ćwiklińska doszła na tej drodze do pewnej niezawisłej pozycyi. Szkoła telegrafistek wydała szczupłe rezultaty; podobno robiono znaczne trudności w egzaminie i zmuszono w ten sposób kilka pretendentek do wyrzeczenia się nowego zawodu. Zarobek wreszcie przypadkowy, przez zręczność do wyrabiania pewnych drobnych przedmiotów, jest tu bardzo trudny. W sklepach niechętnie przyjmują robótki i drobiazgi nie pochodzące z fabryk, a więc niema łatwości dojścia do czegokolwiek na tej drodze. To też kobiety klas średnich niemal wyłącznie garną się do stanu nauczycielskiego.

W danej chwili rzec też można, iż oprócz domowej służby klasa kobiet prostych liczniejsze zajęcie i stosunkowo dość korzystne znajduje w fabryce cygar; gdy kobiety wykształceńsze prawie wyłącznie mają przed sobą zawód nauczycielski. Oczywiście, stosuje się to do osób szukających pracy a nie posiadających kapitału, ponieważ wiele bardzo kobiet ma zatrudnienie w sklepach; ale natomiast mało tu panien sklepowych. Głównie właścicielki pracują w swych zakładach; do pomocy zaś najczęściej używani są jeszcze mężczyźni. W takiem położeniu rzeczy stowarzyszenie nauczycielek posiada istotnie swego rodzaju znaczenie. Pisałem już o niem poprzednio dość obszernie i dziś niewiele dodać mogę. Posiedzenie publiczne stowarzyszenia odbyło się tu przed kilkoma tygodniami. Nie można było spodziewać się świetnych rezultatów i brak takowych zaiste rodzi wątpliwości; ale zdaje mi się, że wzięto się do dzieła trochę niewłaściwie, po galicyjsku. Zarząd rozesłał z 500 odezw w różne strony, do wszystkich ludzi znanych w literaturze lub polityce, do wszystkich stowarzyszeń i finansowych instytucyi, do sejmu, rad powiatowych i miejskich, wzywając wszystkich o pomoc, o poparcie. Szturm tak wielostronny i nagły nie może rokować wielkiego pożytku, a jednak to właśnie najgorsze, że stowarzyszenie samo przez się nic nie znaczy. Członków rzeczywistych, to jest nauczycielek przystąpiło dopiero 40, członków honorowych czyli wspierających jest 104. Owi honorowi członkowie są to ludzie prawie bez wyjątku nie troszczący się wcale o stowarzyszenie, tylko dający jednorazowy lub roczny datek. Członek taki honorowy najczęściej o stowarzyszenie nie dba; dał pieniądze, aby się pozbyć raz na zawsze natrętów i nie przynosi już więcej korzyści. Rozwój stowarzyszenia będącego w związku, nie polega też na mnogości zebranych funduszów, ale na umiejętnem użyciu środków do zainteresowania osób w pierwszem rzędzie do tego powołanych, a więc nauczycielek, na szybkiem zrealizowaniu jakiego celu do zadań stowarzyszenia należącego. O tem wcale nawet dotychczas mowy nie było. Stowarzyszenie istnieje, bo ma 2,500 złr. zebranego funduszu, z których zaledwie część szósta pochodzi od członków stałych; ale nie uzyskała sobie wcale powagi w stanie nauczycielskim. Przecież ta moralna strona ścisłego zespolenia pierwszego grona, ożywienia go duchem poświęcenia i miłości dla idei, to najważniejsza podstawa dalszego rozwoju. Bez miłości żadna idea nie przyjmuje się na świecie; a o tem nie powinny zapominać szczególniej kobiety rozpoczynające szerszą pożyteczną działalność.

Znaczna stosunkowo ilość napływowej bogatszej ludności do Krakowa, która przyczyniła się do ożywienia karnawału, nie mogła spocząć w poście, potrzebowała nowych rozrywek. Rauty nie wystarczały, ponieważ mniej więcej te same osoby spotykając się na nich, musiały sobie prędko uprzykrzyć tę jednostajność. To też zalewa nas w danej chwili powódź odczytów i koncertów, a mamy zapowiedziane jeszcze przedstawienia amatorskie teatralne, oraz loteryę fantową. Odczyty nasze mają charakter rozrywki umysłowej. Urządzający je studenci udają się do kilku osób znanych w literaturze, prosząc o przyjęcie udziału w prelekcyach. Odczyty zatem nie mają najmniejszej jednolitości kierunku; prelegenci wyznają najrozmaitsze przekonania, mówią o rzeczach zupełnie odmiennych, a ponieważ każdy z nich przedmiot obrany zawiera w jednej godzinie wykładu, często więc bardzo temat obszerny ścieśniony bywa w ramy minimalnych rozmiarów. Ponieważ wykładający są to zwykle ludzie naukowi, bywają zatem odczyty nieraz bardzo ładne. Publiczność słucha dziś najcierpliwiej scholastycznych wywodów X. Goliana o sztuce, aby nazajutrz przy sposobności odczytu p. Asnyka o Antygonie, równie gorliwie przyklasnąć zdaniom wbrew przeciwnym tym, jakie słyszała dnia poprzedniego. Ale bo też tu chodzi o rozrywkę, nie o poważne myślenie. Zapewne rozrywka ta ma w sobie dobre strony, i może niekiedy uda jej się trafić w dobrą godzinę, ożywić pewną tęsknotę do książki, obudzić niezadowolenie z własnej niewiadomości. Nie tylko więc nie przyganiamy odczytom, ale przeciwnie jesteśmy ich zwolennikami; tylko nie chcemy, aby je tłumaczono opacznie, jako dowód umysłowego życia słuchaczy, dla nich bowiem dotychczas jest to najczęściej rozrywką, niekiedy zabiciem czasu. Jest to w tem także trochę mody, naśladowania Warszawy, trochę grzeczności dla prelegentów, filantropii, słowem wszystkiego po trosze, a więc i zamiłowania nauki, ale tego ostatniego jednakże najmniej.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Gwiazda. Komedya w jednym akcie, z francuzkiego.— **Nadzieje.** Komedya w jednym akcie pana Najac. — **Synalek.** Obrazek sceniczny, oryginalnie napisany przez Wincentego hr. Bobrowskiego, w jednym akcie.

Bardzo rzadko rozszerzamy się a nawet wspominamy w tem piśmie, o komedyach mniejszych, krotochwilach, czy bluetkach, — raz dlatego, że są to po większej części sztuki tłumaczone, a potem, że wybór tych sztuk tłumaczonych, nie zasługuje prawie na głębszą rozwagę. Ukazują się one na scenie i przemijają bez śladu i wieści, pożegnane jedynie złowieszczym krzykiem licznych recenzentów i gniewem tych artystów, którzy muszą się uczyć na pamięć rzeczy niegodnych pamięci. Zabłąka się, co prawda, między ten potok tłumaczeń, jedna lub dwie komedyjki oryginalne, ale niestety ubolewać przychodzi nad ich wartością, a może więcej jeszcze nad skwapliwością w ich wystawieniu. Jeżeli już gdzie wybór czynić należy, to przy dziełach oryginalnych, dając pierwszeństwo autorom, którzy już na scenie pierwsze postawili kroki, a nie niańcząc ze zbytnią czułością i troskliwością niemowlęta, porzucone bez miłości na bruku, na łaskę i zlitowanie lada przechodnia. Ściągamy słowa te do kilku innych tego rodzaju sztuk oryginalnych, ale nie mniej i do „Synalka“ pana Wicentego hr. Bobrowskiego. Pojmujemy skromność p. Bobrowskiego w podtytułowaniu: „Obrazek sceniczny“, ale autor okazałby daleko większą i godniejszą uznania skromność, gdyby się z wystawieniem sztuki powstrzymał zupełnie, przynajmniej na scenie warszawskiej. Nie dlatego, iżby tam nie było nic a nic, to jest ani krzty dowcipu, ani cienia charakteru, ani idei dyalogu, gdyż jest cień charakteru dobrze pochwycony samego „Synalka“, ale też to i wszystko. Reszta lepiona dorywczo, z silnem postanowieniem napisania utworu scenicznego, a na wzór mniejszych komedyi młodego Fredry, któremu jednak szczerego humoru i najzawziętszy wróg (jeżeli go ma) nie odmówi. Synalków takich, świeżo ukończonych eks-gimnaziastów, obdarowanych nadto szczęśliwym przypadkiem, tytułem „hrabiego“, znajduje się dosyć znaczna liczba, zwłaszcza w Galicyi, w której hrabiowie świeżo-kreowani, nie zwykli chodzić postępową drogą ogólnej oświaty. I u nas znalazłby się taki „synalek“, wyhodowany na nowomodnej karmi, z silnem przekonaniem, że racyonalizm jego osobisty bardzo podejrzany, pokona wszelkie zawady, zwycięży wszelkie argumenta i zdobędzie każdą dowolnie obraną pozycyą szturmem. Tutaj synalek (hrabia Józio Krzyski) chce zdobyć szturmem posażną pannę Irenę, a nie ją, to jej siostrę Kamilę i dopiero w końcu dowiaduje się, że z niego zadrwiono. Obrazek to raczej rodzinny, godny zagrania na jakiej scenie amatorskiej, gdzie wszyscy znają takiego synalka, przezcoby go nawet zdołano opamiętać i poprawić, — ale na scenie warszawskiej był on prostą niestosownością. Dość wszakże o robocie autorskiej, pochwała zaś bezwzględna panu Szymanowskiemu w roli tytułowej. Gdyby nie jego znakomita gra, wszyscy zasnęliby snem sprawiedliwych, a do snu znakomicie pomagali p. Holcmann, zwłaszcza zaś p. Łukowicz, któremu z całego serca życzymy, iżby nas pożegnał, jeżeli można, na zawsze.

W tłumaczonej komedyi „Gwiazda“, spotykamy bardzo pięknie brzmiące nazwiska: lorda Montgomery, lorda Clifford i artystki sławnej, panny Perceval. Rzecz zaś dzieje się w Londynie, w hotelu Buckingham. O co chodzi? O kaprys dwóch milionerów, którzy zachwyceni talentem i pięknością artystki, starają się o jej względy, przeszkadzając sobie wzajemnie w sposób ekscentryczny, właściwy mieszkańcom wyspy. Ale artystka przekłada hołdy publiczności (bardzo pochlebnie dla publiczności) nad pożycie małżeńskie choćby z milionerem i obaj wychodzą zawiedzeni w swych widokach. Rzecz sama nie bez zręczności i dowcipu, gdyby tylko, nawet bardzo dobrzy zresztą artyści, nie potknęli się tym razem. Ani bowiem panna Romana Popiel nie grała w odpowiednim sobie charakterze, ani pp. Ostrowski i Rapacki, ten pierwszy zwłaszcza, nie chcieli zapomnieć, że lordowie angielscy bardzo przystojni i bardzo eleganccy, mogą być mimoto śmieszni swą nieudaną oryginalnością. Obaj wreszcie, jak sama artystka w sztuce mówi, są „przystojni“ — po cóż więc było robić z siebie karykatury? Dalej, sztuka tego rodzaju, powinna być graną niezmiernie szybko i niezmiernie elegancko. A właśnie, nie dostrzegliśmy ani jednego ani drugiego.

Miejmy jednak „nadzieję“, że ze sztuką podobną „Nadziejom“ pana Nayac, nie tak prędko znowu się spotkamy. Cała dość długa jedno-aktówka jest wielkiem „nic“, ale tak szczerze niezręcznem, tak powtarzającem co chwila ten wyraz „Nadzieje“, jakby z obawy, iżby o niem nie zapomniała publiczność, iż nareszcie każdy z widzów, stracił nadzieję wytrzymania cierpliwie do końca. Gra pp. Rapackiego, Ostrowskiego i Niewiarowskiej wyborna, ratuje od przeciągłego ziewania, ale niezdolną jest uratować samej sztuki, której życzymy „wiecznego odpoczynku“. Widzimy ztąd, że reżyserya daje dowody pracy i ruchliwości, że jest rozmaitość sztuk, i dosyć często nowość w repertoarze, ale rozmaitość ta nieoparta na oględnym wyborze, zużywa siły artystów na błahostki, a zwolna zniechęci i najchętniejszą nawet publiczność, jaką jest warszawska. Obejrzeć się tylko, choćby już w dawnym repertoarze paryzkim, a znaleźćby można moc mniejszych komedyi i krotochwil wybornych, pióra takich Dumasów starych, Sandów, Thibautów, choćby Kocków i innych. Potrzeba tylko szukać starannie.

Edward Lubowski.

DAWID LIVINGSTONE.

(Dokończenie).

Przybywszy znowu do brzegów Afryki, u znanego sobie ujścia Zambezy, Livingstone rozpoczął z końcem 1858 r. drugi i najznakomitszy period swych podróży, płynąc w górę rzeki Chir, która stanowi najważniejszy wschodni dopływ Zambezy. W połowie kwietnia 1859 roku odkrył jezioro Chirua, położone na wyniosłości dwóch tysięcy stóp nad poziomem morza. Kraj górzysty, otaczający jezioro, przedstawia okolicę dziką, a tak pełną niebezpieczeństw i niewygód wszelkiego rodzaju, że każdy podróżnik cofnąłby się co prędzej po za siebie, ale Livingstone, którego wytrwałość hartowna nie zmniejszyła się z laty, bawił tam dłużej nad zamiar i kołując niejako po okolicy, wracając niejednokrotnie w opuszczone poprzednio strony, badał system wód miejscowych, aż pracowite te trudy zostały wspania-

le nagrodzone. Odkrył ogromne jezioro Nyassa, przepłynął je w całej jego długości, zbadał jego wybrzeże zachodnie a było to pierwsze z tych wielkich odkryć, które zapewniły niezmordowanemu podróżnikowi sławę nieśmiertelnego geografa. Wróciwszy na wody Zambezy, zapuścił się znów w głęb Afryki środkowej, dla zbadania średniej części biegu tej rzeki, czego nie mógł dokonać za przeszłych swych podróży; dotarł znów do jej ujścia w 1861 roku i zawrócił do jeziora Nyassa, które zbadał raz jeszcze. Ta pracowita a nużącej jednostajności wyprawa trwała lat pięć, to też inni podróżnicy, gorętszego usposobienia, nie mogąc pojąć w całej rozciągłości tej wytrwałej natury, uparcie przy jednej myśli stojącej, spotwarzali Livingstona, że jest więcej szczęśliwym niż zasłużonym i nauce poświęconym podróżnikiem, ale trzeba było właśnie najwyższego tej nauki zamiłowania, aby poświęcając sławę odkrywcy stron coraz nowych, oddawać się cierpliwym studyom wśród takich okolic i z takiemi środkami, jakie miał do rozporządzenia. Ale przeszłość młodzieńca wydawała owoce w dojrzałym wieku męża— umiał idąc powolnym krokiem dojść do bardzo dalekiego celu.

Teraz nastąpiła w pracowitym życiu Livingstona przerwa we właściwej jego pracy i odpoczynek spokojny lat paru, jeżeli tak nazwać można wykonywanie obowiązków missyonarza. Ale odkrycia wielkich jezior pod zwrotnikowych, dokonane przez Burtona, Speka i Granta, pobudziły znowu podróżniczy jego zapał i w marcu 1866 r. wyprawił się na wody rzeki Rovuma, płynąc w górę od jej ujścia, dostał się raz jeszcze do jeziora Nyassa, które okrążył od strony południowej. Zamiarem jego było określić granice doliny tego jeziora i granice doliny Zambezy, ale choć teraz miał sobie dodany tytuł konsula królowej, został zdradliwie porzucony przez orszak krajowców i musiał przebywać smutną próbę samotnego pobytu na południowem brzegu jeziora. Dopiero w 1867 roku zdołał się wydostać z doliny rzeki Zambezy i wkroczył w granice innego wod systemu, sądząc, że to jest system Nilu. Między temi dwoma systematami hydrograficznemi trzeba mu było przebyć pomniejszą dolinę rzeki Tchambezy, którą to rzekę wielu geografów brało dotąd za jedno z Zambezą, chociaż Tchambeza była kilkakrotnie badana przez Portugalczyków: Pereira, Lacerda, Monteiro i Gamitto. Po kilku dniach drogi w kierunku północnym dotarł do jeziora Liemba, które podług krajowców łączy się z rzeką Tanganiką. Livingstone widząc, że wkracza w dziedzinę odkryć Speka, zwrócił się na zachód i odkrył wielkie jezioro a raczej morze wewnętrzne Moero. Jezioro było oddalone tylko o dzień drogi od miejsc, które podróżnik portugalski Monteiro przebywał w 1832 roku, znów więc mógł się podnieść chór głosów zazdrosnych, że Livingstone jest głównie szczęśliwym. Rzadko przecież szczęście przychodzi darmo; cierpliwa pracowitość jest w pozyskaniu go środkiem tak potężnym, że często bardzo przeważa ona sam gieniusz nawet. Livingstone posiadał w wysokim stopniu ten przymiot dający powodzenie, i jeżeli to można nazwać szczęściem, że ktoś potrafi go wyrobić w sobie, że go złączy z hartem woli silnej, z pogardą wczasu i spokojnego używania życia, był to niewątpliwie człowiek wysoce szczęśliwy.

Uważne badanie wód jeziora Moero doprowadziło wkrótce Livingstona do odkrycia, że znaczna rzeka, zwana przez krajowców Luapula, zasila je swemi falami. Livingstone puściwszy się w górę tej rzeki, odkrył drugie wielkie jezioro, przelewające tędy swe wody, jezioro Banguelo. Odkrycie miało miejsce już w roku 1868 i Livingstone powziął przekonanie, że ma przed sobą zbiorowisko wody, utworzone przez rzekę Tchambezę.

W roku 1869 przedsiewziął nową wyprawę do jeziora Moero i jest to nowy znów peryod jego życia, bo w tej to podróży odważny wędrowiec, teraz samotny i bez ukochanej kobiety przy swym boku, śmielej jeszcze zapuszczał się w pustyni, aż ślad wszelki jego istnienia zatarł się dla świata i zaginiony zdawał się być już straconym dla nauki i społeczeństwa, które go czciło teraz jak wielkiego człowieka. On przecież działał i nie bezpłodnie pracował w tym czasie. W roku 1870 doszedł do przekonania, że jezioro Moero wylewa nadmiar swych wód w wielką rzekę Lualaba, ktora z kolei odnosi je drugiemu jezioru. Livingstone nie dał mu już żadnej nazwy szczególnej, zwiąc je po prostu: „The Lake“ jezioro. Odkrycie to miało miejsce w 1871 roku i w powrocie od jego brzegów nastąpiło spotkanie zaginionego podróżnika z amerykańskim publicystą, Stanleyem, który wyprawił się z Nowego Yorku z zamiarem odszukania go, lub dojścia do pewności o jego zgonie. Los Livingstona tak silnie interessował publiczność angielską, a za jej natchnieniem i amerykańską, że najznakomitszy dziennik Nowo-Yorkski, Harald, wyprawił swego reportera na odszukanie go w pustyniach jeżeli żył jeszcze, lub grobowca, któryby go przyjął na spoczynek ostatni. Taka wyprawa jest rzeczą kosztowną, szczególniej jeżeli ma przed sobą cel tak wytknięty, że trzeba się do niego przebierać wprost przed siebie, bez względu na trudne okoliczności i niebezpieczeństwa tak klimatu, jak pierwotnego człowieka, który zamieszkuję te spalone słonecznem żarem ziemi. Cała fortuna średnio bogatego człowieka może nie starczyć na jedną wyprawe taką, jaką, przedsiębrał teraz Stanley, kosztem dziennika, który go wysyłał, i to być może miarą, jak silne być musiało zajęcie losem zaginionego, jak wielką sympatya, którą budził i ważna pod naukowem względem praca, której dokonał. Stanley spotkał Livingstona wynędzniałym przez przebytą niedawno chorobę, ale nie złamanym na duchu i tworzącym już w myśli plan nowej wyprawy. Przecież nad radością z wielkich odkryć, które go unieśmiertelniały, przeważał wtedy w tym szlachetnym sercu smutek, doznawany przez widok handlu biedną ludnością czarną, której on chciał nieść światło wiary Chrystusowej, a która w oczach nikczemnych handlarzy była towarem żywym, stadem bydła z ludzką tylko postacią, które chwytano w swe niecne sieci tak sztuką, jak przemocą i sprzedawano potem na rynkach jak zwierzęta robocze. Najgłówniejszą myślą Livingstona był teraz powrót do ojczyzny, aby przy współdziałaniu sił potężniejszych niż sam głos jego, ohydny frymark ludźmi wziął kres stanowczy. Przecież nie chciał pozostawić za sobą pracy niedokończonej, i w r. 1872 wyprawił się raz jeszcze na badanie wód jeziora Banguelo. Ale w r. 1873 zapuścił się nieszczęśnie w okolicę bagnistą, gdzie przebywając przez dni osiem, stracił większą część ludzi swego orszaku i sam nakoniec śmierć znalazł. Umarł w skutek choroby, nabytej przez wyziewy bagnistych zarośli, przez które chciał się przedrzeć i można powiedzić, że umarł jak szlachetny rycerz nauki, zdobywając wiedzę, którą zbogacał społeczeństwo ludzkie.

Ta ludność czarna, która jak wspomnieliśmy wyżej, ulega przez chciwość srogich przybyszy białych losowi bydląt jucznych: bywa chwytana w obławach okrutnych, wywożona z ojczyzny, sprzedawana przez jednych a kupowana przez drugich, ta ludność murzyńska zdolną była jednak pokochać go nieobłudnie, jako duchownego ojca i szlachetnego przyjaciela. Gdy bowiem umarł, sam jeden człowiek biały między tym prześladowanym ludem czarnym, murzyni jego orszaku zabalsamowali ciało na swój sposób, to jest zamknęli je w trumnie, napełnionei drogocenną dla nich solą i wiernie odnieśli do Zanzibaru.

Dając czytelniczkom szkic tego pięknego życia, ograniczony głównie do prac dokonanych, musieliśmy go zrobić suchym dla mnóstwa szczegółów, których opuścić było niepodobieństwem, a których obrazowanie utworzyłoby książkę całą. Na zakończenie też trzeba nam dodać tylko świadectwo, wydane pamięci Dawida Livingstona przez cały świat naukowy, że nigdy jeszcze jedna osobistość podróżnika nie dokonała dla nauki dzieła tak rozległego i zarazem tak opracowanego troskliwie. A przecież Livingstone dopełnił tego wszystkiego sam, bez pomocy żadnego współpracownika, a często bez żadnego orszaku, samotnie, bez zapasów, więc skazany na walkę ciągłą z najcięższemi brakami pierwszych potrzeb do życia. Ale był za ubogi, aby mógł podróżować inaczej, że zaś z drugiej strony nie stowarzyszył się z żadnym przyjacielem uczonym, któryby go w pracy i trudach jego wspomagał, nie trzeba dopatrywać w tym fakcie zazdrosnego pragnienia niedzielonej z nikim sławy. Była to tylko najwyższa miłość nauki, która przemagała w nim względy wszystkie, uważał bowiem, że współka stowarzyszonych podróżników jest zawsze krępowaną w pochodzie, tak przez różne przygody, kolejno przytrafiające się jej członkom, jak przez różne poglądy i rozmaite osobiste chęci i porywy. Sam więc, z drogą tylko kobietą przy boku, póki los mu na to pozwolił, ciągnął trudne prace swoje, a skoro rzucimy okiem na kartę Afryki, taką, jaką Dawid Livingstone znalazł ją przed dwudziestu laty, zobaczymy, że południowa część lądu afrykańskiego, poczynając od granic posiadłości europejskich na przylądku Dobrej-Nadziei, aż do szerokości jeziora Tchad, była wtedy niezbadaną i cieniem niewiadomości zakrytą krainą, i tylko wybrzeża nazwać było można znanemi nieco. Teraz przecież owe cienie tajemnicze stały się rozświecone mocnym rzutem światła, poczynając od linii którą da się poprowadzić od ujścia rzeki Zaïry; wielkie linie hydrograficzne zostały nakreślone i można już obecnie tworzyć sobie pewne hipotezy poważne, co do systematu wodnego Afryki podrównikowej. A cały ten ogromny postęp w znajomości świata, który zamieszkujemy, kuli ziemskiej, winniśmy skromnemu missyonarzowi, człowiekowi ubogiemu, którego życie podzielić można na dwie niemal równe sobie połowy: pierwsza była walką o naukę, stanowiącą środek do pracy; druga walką dla nauki, którą obdarzył społeczeństwo, tak w swej cywilizacye twarde niegdyś dla niego. Nie chciało dać darmo ubogiemu jednego promyka swej wiedzy, a on oddał mu wspaniale tej wiedzy skarb cały, nie biorąc nic wzajem. Nie zamknęło mu nawet powiek, a prawdziwa cześć pogrzebowa oddaną została jego zwłokom przez biedne ręce tego czarnego ludu, który też Dawid Livingstone umiał kochać stale sercem prawdziwie chrześciańskiem.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

(Dokończenie).

Wiedeń.

W teatrach również na czele figurują krach, wystawa, prawa wyznaniowe — ale też obok tego i piękna tradycya prawdziwej sztuki.

Dwa teatra rywalizują tu z sobą. Teatr dworski pod kierunkiem Dingelstedta, który już się chylił ku upadkowi ze stanowiska naczelnego w całych Niemczech, pobudzony konkurencyą Stadt-teatru, którym kieruje najlepszy w Europie dyrektor Laube, poczyna się znowu odradzać.

Obok komedyi salonowej grają tam znowu Szekspira i w ogóle dzieła klasyczne w nowem obrobieniu i z ogromnym przepychem. Obecnie „Henryk VI“ Szekspira zapełnia teatr za każdym razem.

W Stadt-teatrze pojawiło się kilka nowości. Najpierw Sakuntala, indyjska, która jednak zbyt przykrojona i okrojona, miała tylko un succès d'estime. Bardzo dobrą jest komedya Rosena „Ciężkie czasy“, którą warto dla naszych scen przyswoić. Temat pokrewny „Epidemii“ Narzymskiego. Osią akcyi jest dziennikarz, a tłem — krach. Opowiem treść pokrótce: Rodzina bankierska uszlachcona, cieszy się najlepszem imieniem i powodzeniem. Głową domu jest babka, a firmy wnuk. Babka oddała mu cały swój majątek pod słowem honoru, że jej kapitału nigdy w żadne spekulacye nie zawikła — bo na to honor firmy nie pozwala. Honor ten tak jest drogim tej damie, że z żoną swego wnuka żyje ona na stopie obojętności—gdyż synowa była aktorką; i niepomaga na to ani miłość wnuka, ani dowcip wnuczki, panny wykształconej, energicznej weredyczki, którą nazywają domowym dziennikarzem. Tak stoją rzeczy, gdy się pojawia w dzienniku „Leuchte“ artykuł „*Ciężkie czasy*“, opisujący lekkomyślność ludzi, którzy niezadowoleni z wielkiego nawet majątku, puszczają się lekkomyślnie w spekulacye, ryzykują los rodziny i tysiąca osób, które im ufają — słowem opisujący cały krach. Żona i siostra bankiera naszego, które uważały już od pewnego czasu w nim niezwykły niepokój, kładą mu, każda z osobna, ten dziennik pod serwetę, przy śniadaniu. I trafiły w jedno — bankier bowiem znał już artykuł, wziął go za osobistą napaść na siebie, nie pyta o słuszność, lecz widzi w tem zemstę redaktora, który dawniej kochał się w jego żonie, ale bez wzajemności i tylko przyjaźń między niemi pozostała. Podłożenie dziennika wywołuje scenę domową; bankier zdradza się, że bierze to do siebie; babka zaciekawiona, choć nigdy gazet nie czytuje, teraz zazna-

jamia się z artykułem, przyznaje autorowi jego zupełną słuszność, chwali jego nastrój uczciwy i dziwi się, jakim sposobem wnuk mógł się do tyla artykułem tym poruszyć. Bierze więc wnuka na konfessatę, a po zapewnieniu, że firma jest niezachwianą, że jej kapitał nie tknięty, postanawia zaprosić do siebie autora owego artykułu, podwójnie dla jej wnuka wstrętnego. Zaproszenie zanosi dowcipna wnuczka ze starym służącym, bo ciekawa jest zobaczyć, jak to wygląda redakcya. Jest-to wyborna scena. Widzi dwa biurka, papiery i dziwi się: „jak to, to nic więcej nie potrzeba, żeby co dzień taki dziennik wydawać?“ Drugi dziennikarz, wesoły feljetonista, pokazuje jej nożyczki i ołówek i mówi: „o to dwaj główni redaktorowie“. Przybywa bankier sam następnie w i sposób niegrzeczny zakazuje redaktorowi przyjęcia zaproszenia, ten go dumnie odprawia. Z kolei przybywa bogaty rentier, dawniej przekupień jarzyn, który gra na giełdzie, artykół ów także wziął do siebie, skruszył się i przychodzi teraz po radę do samego autora artykułu, a mianowicie: czy sto tysięcy, które ma ulokowane u naszego bankiera, ma pozostawić, czy wypowiedzieć? Jest-to wyborna figura, bogacz, który się natury filistra wcale nie pozbył, kroi na pana, a w każdym ruchu i słowie wybucha szczery mieszczuch. Ma on córki — chcąc je wydać edukuje je modnie, każdą do czego innego; najstarszą do *sportu łyżwowego* i w tym celu pokój jeden urządza na ślizgawkę, gdzie z córką na drewnianych łyżwach się ćwiczy „bo to na lodzie łatwo się znajomości i stosuneczki zawiązują.“

Redaktor wmieszany niechcący w sprawy domowe i finansowe bankiera, radzi naszemu filistrowi pozostawić pieniądze tam gdzie są, sam zaś udaje się na wieczór do babki; a filistra i jego córkę bierze w opiekę drugi dziennikarz, ów felietonista; z czego się oczywiście złoży małżeństwo. Tymczasem babka dowiedziawszy się, że ów filister groził cofnięciem swego kapitału, także i jego z *familią* zaprasza na wieczór, aby go przez to zawstydzić i upokorzyć.

Redaktor przychodzi na wieczór pierwszy i odgrywa rolę dobrego ducha, ku zachwyceniu panny, opowiada swoją historyę, jak już w 16 roku życia chciał uszczęśliwić ludzkość reformami politycznemi, jak wskutek tego popadł w kolizyę z rządem, jak został dziennikarzem, recenzentem teatralnym, wówczas poznał dzisiejszą bankierowę, ocenił, pokochał... ale już nie kocha od chwili, jak pokazała tyle złego smaku, że bankiera przeniosła nad niego. „Tak babciu, to był zły smak, to też błąd ten mści się na niej. Była samodzielna, kochana, poważana, a porzuciła to — za co? za to, żeby być zależną, od męża kochaną, ale jak dziecko od babci odpychaną, obcą w własnym domu.“ Prawdą i pochlebstwem redaktor podbija dumną babcię, a panna widocznie coraz więcej się nim zachwyca. Babcia skruszona, po raz pierwszy w życiu idzie do żony swego wnuka, aby ją przyprowadzić. Lecz ta (z rozkazu męża) odmawia, tłumacząc się migreną; babcia oburzona, posyła po bankiera, ten odmawia dla braku czasu; — babcia do żywego dotknięta — ją, głowę domu, po raz pierwszy coś podobnego spotyka. Na to przychodzi nasz mieszczuch z córką, babcia przyjmuje go z góry, niegrzecznie, obraźliwie. Ten oświadcza na to: „tak! to i owszem, bo ten honor dla mnie wydawał mi się podejrzanym, a propos moich pieniędzy, ale skoro mnie za drzwi wyrzucają, to widać firma stoi na pewnych nogach“. Babcia do ostateczności doprowadzona, sama mu wypowiada jego kapitał — jest-to scena głośna — na odgłos wrzawy wpada bankierowa, bankier, a dowiedziawszy się o cofnięciu kapitału woła: jesteśmy bankruci! Interes i zawikłanie ani na chwilę nie ustaje, owszem ciągle rośnie. Zatem bankructwo; zaledwo kapitał babci da się ocalić, zresztą niewypłacalność i nędza i hańba. Tu się zaczyna rola kobiet; najpierw żona jest *uradowaną*, bo sytuacya się wyjaśnia, bo wie, co męża dręczyło, a to nie jest nieszczęściem, owszem, teraz ona i siostra bankiera pokażą, że są *osobami;* więc natychmiast oszczędności, mieszkanie zredukowane na trzy pokoje, bogate suknie sprzedane, lokaje odprawieni, powóz, konie sprzedane, brylanty oddane buhalterowi do sprzedania, obie współprzewodniczą w tej pracy i cieszą się myślą spokojnego *dojrzałego* odtąd życia. Bankier wzruszony, ale babcia twarda jak marmur, ona nie może darować, że wnuk złamał dane słowo, że zacną firmę puścił na szacherkę giełdową, ona się usuwa sama, sama żyć będzie, bo żona, siostra, wszyscy idą za bankrutem, aby mu w nieszczęściu dopomódz. I znowu pośredniczy redaktor, wygłasza on tyradę, która niesłychanie musi głaskać serca giełdowiczów, bo jest dla nich rozgrzeszeniem: — „Czy pani wiesz — mówi do babci — co to jest taka ogólna namiętność? że tylko jakiś wyjątkowy umysł mógłby się nie dać porwać, kiedy wszyscy i wszystko obiecywało powodzenie, kiedy honorową (?) niemal rzeczą było grać na giełdzie? czy pani myślisz, że ja nie grałem? (kłamie). I dlatego, że wnuk pani był człowiekiem, że ludzka natura uwiodła go; dlatego chcesz i pani jego potępić, rodzinę jego unieszczęśliwić, siebie osamotnić?“ Oczywiście następuje zgoda i reperacya stosunków, bo udaje się dziennikarzom nakłonić mieszczucha, aby nie żądał pieniędzy, a idzie tylko o zyskanie na czasie, żeby interesa firmy na nowo ubezpieczyć. Panna zaś „domowy dziennikarz“ rzeczywiście idzie za redaktora.

Już ta pobieżna treść przekonać może, że komedya jest dobrą. Jedno w niej złe: apoteoza dziennikarstwa. W Wiedniu to dziś już anachronizm, kłamstwo w żywe oczy. Ależ to właśnie jeden warunek więcej powodzenia.

W tym samym teatrze co i poprzednia sztuka przedstawioną została tragedya Wilbrandta *Giordano Bruno*. Piszący ją zostawał pod wpływem walki o ustawy wyznaniowe, miał na celu zohydzenie inkwizycyi, panowania księży i t. p. Wiele scen pięknych znajduje się w tragedyi, lecz sama osnowa jest mięszaniną niedobraną zawikłań familijnych z religijno-filozoficznemi — jedne osłabiają drugie i sztuka nuży, a nie robi wrażenia. Wypada mi też zapisać, że w teatrze tym poczyna być w modzie dawny koturnowy, lub tak zwany klasyczny sposób grania. Od pierwszego aktu jest tu każdy ruch i każdy ton do najwyższego stopnia wymuszony tak, że mimo brawury, brakuje w ciągu sztuki artystom i odpowiednich giestów i głosu — rzucają się i wyją. Jakże odbija od tego artystyczne umiarkowanie i stopniowanie w grze pp. Modrzejewskiej i Rapackiego.

W teatrze w Wiedniu wielkie ma powodzenie farsa: *Zbiegłe kobiety* — jedna, stara, ucieka od starego męża, bo ten ogranicza wydatki domowe z powodu krachu, a według jej zdania, należy owszem trwonić pieniądze, żeby przychodzić w pomoc przemysłowi; druga, młoda, żona bratanka tamtej, goni za mężem, który wyjechał, nie opowiedziawszy się po co, więc zazdrość i podejrzliwość pospolitego gatunku. Obie nie umieją sobie dać rady w obcem mieście, obie się jednako nazywają, ztąd kolizye, dostają się aż do policyi, wpadają w ręce człowieka, który „ma namiętności“ być policyantem nadetatowym i na tej drodze szuka sławy. Wreszcie wszystko się ku ogólnej uciesze rozwiązuje. Ruchu sporo; jest i dowcip, nie ma zgorszenia — to już wiele, ale poezyi, myśli... o to wcale nie idzie.

Przypadkiem w Residenz-Theater zrobiłem odkrycie; grają tam raz wraz „oryginalną“ komedyę: *Polowanie za szczęściem* — otóż jest-to nędzna, spotwarzona przeróbka komedyi Bałuckiego: „Radcy pana radcy“, z wprowadzeniem kasperlad i cytat z niemieckich autorów. Jest-to po prostu kradzież, a zarazem i oszustwo, które autorowi *wcale nie wymienionemu* dobrze się jednak opłaca, nieznajomy *zarobi* na niem 50 razy tyle, co Bałucki na swojej komedyi.

W innych teatrach grają albo farsy karykaturujące wystawę, albo śmiecie francuzkie, które nawet tutejszym dziennikom wydają się za grubemi i głupiemi, a które, niestety, i w Krakowie przedstawiane bywają.

Niedawno zakończyły się gościnne występy słynnego tragika włoskiego Rossi, teraz przyjechała Patti. Na stałych koncertach w salach Gartenbaugesellschaft, można słyszeć wyborną muzykę, a w Muzeum odbywają się bezpłatne wykłady ze sfery tak zwanej artystyczno-przemysłowej.

Wreszcie wypada mi zanotować ustąpienie z katedr, z powodu wieku, słynnych profesorów Hyrtla i Rokitańskiego, których wcale nie ma kto zastąpić.

RUCH MUZYCZNY.

Towarzystwo muzyczne.—Hans v. Bulow.—Koncert p. Zarzyckiego. — 9-ty wielki koncert Tow. Muzycznego.

Dawno już nie mieliśmy sposobności obszerniej pomówić o działalności Towarzystwa Muzycznego: tegoroczne sprawozdanie i debata, jakie miały miejsce nad niem na Ogólnem Zebraniu członków, potrzebuje zapisania na liście ważniejszych wypadków życia naszego miejskiego. Czy wrażenie, jakie z owego zapisania wyniknie, będzie dodatniem czy ujemnem, o tem jeszcze nie przesądzajmy na początku artykułu; postaramy się w krótkich wyrazach wykazać dobre i mniej dobre strony działalności komitetu, i na nich dopiero oprzeć nasze zdanie.

Nie podobna zaprzeczyć, że Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, w ciągu kilko-letniego swego istnienia, oddało nie małe usługi sztuce. Przez to samo już, że lokal jego stał się punktem zbornym wszystkich mniej więcej indywidualności muzykalnych w naszem mieście, wiele się stało dobrego — częściej się spotykając, artyści i amatorowie poznają się bliżej i wzajemnie się kształcą. Atoli taka korzyść byłaby tylko podrzędną, gdyby obok niej nie istniały korzyści inne, wynikające z kierunku nadanego z góry wszelkim rozrywkom muzykalnym, tamże urządzanym. Kierunek ten określa naprzód Ustawa, mówiąc, że starać się należy o oswojenie publiczności z muzyką klasyczną, następnie nadaje go komitet, który, wedle swego uznania, mniej więcej ściśle, stosuje przepisy ustawy, do stopniowo rozwijającego się smaku publiczności.

Nie ulega kwestyi, że od czasu założenia Towarzystwa, nie mało w niem wykonano dzieł poważnych i kształcących, że je wykonano nieraz wzorowo i że publiczność nasza odniosła już istotną z tego korzyść, gdyż z widocznem zajęciem słucha dziś dzieł surowszego stylu, dawniej zupełnie dla niej obojętnych. Wszakże i to przyznać należy, że dotychczas kierunek nadawany koncertom i wieczorom Towarzystwa, nie był ściśle zastosowanym do surowych wymagań sztuki. Komitet sądził, może nie bez słuszności, że od razu nie podobna dawać zbyt ciężkich programów, gdyż takie zamiast zachęcać, odstręczałyby raczej członków, bez nich zaś Towarzystwo istnieć nie może. Z tego powodu, jak dotąd pospolicie bywało, utwory poważniejsze były zawsze w mniejszości, zaś lżejsza część programu niekiedy swoją treścią lub nawet wykonaniem, nie przedstawiała wiele artystycznego materyału. Ze jednak podobne ujemne strony w każdej sprawie ludzkiej być muszą, nie należy zbyt surowo sądzić tej pobłażliwości komitetu, ale owszem, przebiegłszy myślą programy ubiegłych czterdziestu wieczorków zwyczajnych i ośmiu wielkich koncertów Towarzystwa, zwrócić uwagę na liczbę rzeczywiście poważną dzieł pięknych i cywilizacyjnie, że tak powiem, działających, które w ich skład wchodziły. Oprócz wszystkich prawie bez wyjątku wybitniejszych talentów miejscowych, dawały się nam słyszeć w Towarzystwie Muzycznem i zagraniczne znakomitości artystyczne, co było większą może, niż wielu sądzi, dźwignią rozrostu dobrego smaku u nas. Naturalnym bardzo rzeczy biegiem, znakomitości owe przeważnie do giermańskiego należały szczepu, boć w kraju owym muzyka najbardziej kwitnie — i oto z tego tak niewinnego faktu, stało się modą robić zarzut komitetowi, że przesiąkły jest zamiłowaniem niemczyzny, gdy tymczasem, zdaniem mojem, istotnie robił wiele dla sztuki krajowej, a nawet i dla artystów miejscowych, o czem, jeżeliby już co innego świadczyć nie mogło, przekonać mogą niewiernych nawet, same cyfry honoraryów, rozdanych tymże artystom w ciągu każdego roku. Nie tylko, że ustalonej sławy artystów miejscowych komitet nie jednokrotnie angażował do współudziału w wielkich i małych koncertach, ale i dla pragnących się kształcić wyznaczał stypendya, ogłaszał konkursa, które jeżeli dotąd nie wiele nam dały dzieł nowych i pięknych, to już nie wina tych, co je ogłaszali.

Ci nareszcie, co bezwzględnie wszystko ze złej widzą strony, nie powinni zapomnieć i o Szope-

nowskim obchodzie, i o koncercie na dochód rodziny Moniuszki, i o zakupieniu rękopismu Sonetów Krymskich, i o wykonaniu dwóch oratoryów Moniuszki, i nareszcie o zacnych usiłowaniach utworzenia chóru i orkiestry, które także rozbijają się o *okoliczności*.

Okoliczności!! wyraz nader elastyczny, mogący tyle oznaczać! wszakże nie wdając się w różne tajemnicze przyczyny, najważniejszą podobno z tych okoliczności, jest powszechny u nas brak wytrwałości, w skutek której orkiestra po kilku próbach się rozbiła [1]), a chór zawsze szwankuje, będąc złożonym z niedostatecznych i nie regularnie funkcyonujących żywiołów.

Śledząc pilnie i bacznie rozwój Towarzystwa Muzycznego od samego jego założenia, nie mogąc w niem nie dostrzegać braków, ale bacząc na to, że te braki najczęściej nie z winy kierownictwa pochodziły, mogłem, jak sądzę, bez lekkomyślności wyrzec zdanie, że „Towarzystwo Muzyczne, ile może, wspiera sztukę krajową...“ [2]). Inaczej sądziła Redakcya Tygodnika Illustrowanego, która drukując to moje zdanie, opatrzyła je w przypisku zarzutem, jakoby ono wcale na faktach opieranem nie było. Przypisek ten, jako też i zbyt ostre według mnie sądy o Towarzystwie Muzycznem, w N-rze 323 tegoż pisma zamieszczone — zniewoliły mię nawet do dobrowolnego usunięcia się ze współpracownictwa do Tygodnika, przynajmniej co do pisywania stałych sprawozdań o faktach muzykalnych miejscowych.

Jeżeli o tym osobistym szczególe ośmielam się czynić wzmiankę, to dlatego jedynie, by wykazać, że ponieważ skruszyłem kopię moją w obronie losów Towarzystwa Muzycznego, przeto nie mogę być podejrzywanym o niechęć dla jego dotychczasowego kierunku, i tem śmielej mogę teraz pisać o tem, co mi się w tym kierunku mniej dobrem wydaje.

Jak dotąd, co do niektórych spraw przynajmniej, sądziłbym, że w działalności komitetu zachodzi pewna *sztywność*, mająca pozory niekiedy fałszywej powagi, niekiedy lekceważenia dla tych kwestyi. Weźmy np. kwestyę odczytów; jeszcze na zeszłorocznem Ogólnem Zebraniu postawionym został wniosek, aby odczyty treści muzycznej urządzane były; wniosek ów przyjęty jednomyślnie przez całe zgromadzenie, wcale jednak w ciągu roku wprowadzonym w życie nie został. Dlaczego? dla powodu, któremuby może nie wszyscy dali wiarę, gdyby z łona właśnie komitetu nie wyszła wyraźna w tej sprawie odpowiedź. Oto komitet nie miał odczytów, bo *nie chciał sam brać inicyatywy* w tej sprawie, ale życzył sobie, aby ci, co pragną mieć odczyty, sami się tego domyślili, że je przedstawić można do zatwierdzenia. Na szczęście dyskusya na tegorocznem ogólnem zebraniu, potrafiła zmienić to zapatrywanie się komitetu i stosowne ogłoszenie już zrobionem zostało, które zapewne wyda wkrótce swe owoce.

Podobnież fałszywe, według mnie, jest zapatrywanie się komitetu na kwestyę wydawnictwa. Między innemi, postawiony został na ostatniem ogólnem zebraniu wniosek, aby Towarzystwo corocznie pewną liczbę kompozycyi krajowych wydawało. Ze zdziwieniem usłyszeliśmy od Komitetu odpowiedź, że w obecnej chwili nie ma dzieł godnych wydania przez Towarzystwo, i że nawet dzieła na konkursach premiowane, na to nie zasługują, jako mające tylko względną (konkursowo-porównawczą) wartość. My przeciwnie sądzimy, że Towarzystwo Muzyczne chcąc się przyczynić do rozwoju sztuki krajowej, powinnoby cokolwiek mniej surowo sądzić nowoczesne utwory, a z pewnością znalazłaby się do wydania nie jedna rzecz piękna prawdziwie. Nie wątpię nawet, że tę kwestyę potrafilibyśmy byli rozwiązać w tenże sposób na ogólnem zebraniu, gdyby dyskusya była prowadzona dłużej, bardziej wyczerpująco, a zwłaszcza gdyby Komitet był jasno i dobitnie określał kwestye mające iść pod głosowanie. Pewien brak porządku parlamentarnego, który na owem ostatniem zebraniu czuć się dawał, bardzo zaszkodził pomyślnemu i wyczerpującemu rozwiązaniu niektórych materyi. Sądzimy, że ażeby tego uniknąć, byłoby właściwiej zaczynać nasze zebrania ogólne o parę godzin wcześniej, np. o 11-tej rano, a oprócz tego urządzać nad wszelkiemi ważniejszemi wnioskami głosowanie przez kartki.

Nareszcie, cokolwiek więcej niż dotąd uwagi powinien zwrócić komitet, na kwestyę *dyżurów* piątkowych. W prawdzie trudno wymagać, aby te dyżury, urządzane w skutek dobrej woli członków, zawsze były równie dobre a nawet czasami, jak sądzę, uwzględnić należy wyjątkowy wypadek, w którym dyżur podobny urządzonym być nie może. Ale przy pewnej baczności ze strony Komitetu, możnaby jak sądzę, łatwo wszystkim wypadkom zaradzić:

1) niedopuszczać wykonania zbyt słabego i rażącego;

2) jeżeli dyżurny wcześnie ogłosi, że nie może urządzić muzyki, może dyrekcya artystyczna komitetu tem urządzeniem się zajęć;

3) w razie zupełnej niemożności wcześniej o tem ogłosić, aby nadaremnie członkowie do sali się nie schodzili.

Do liczby zarzutów, które ośmieliłbym się postawić komitetowi, należy zbytnia treściwość tegorocznego sprawozdania i pominięcie objaśnień, należnych publiczności z powodu niespełnienia niektórych zobowiązań. Jeżeli z jednej strony nic nie powiedziano w tem sprawozdaniu o kwestyi odczytów, jeżeli pominięto milczeniem przyczynę dla której chóry Towarzystwa tak rzadko w ciągu roku słyszeć się dawały, to tem dziwniej jeszcze, że komitet nie wykazał przyczyn, dla których zamiast zawarowanej ustawą liczby 16 wieczorów muzycznych, było ich tylko 13. W zeszłych latach jeden wieczór lub dwa czasami, musiały być poświęcone z powodu ustępowania Sal Redutowych na Bazar przed świętami Bożego Narodzenia przez Tow. Dobroczynności urządzany, i sprawozdanie zawsze czyniło o tem wzmiankę; lecz możnaby było, jak sądzę, w przewidywaniu tego wypadku, dawać wieczory w nieco mniejszych odstępach, aby ich tyle nie tracić, a w każdym razie nieobecność aż trzech wieczorów należało usprawiedliwić.

Streszczając powyższe uwagi, widzimy że większość ich wywołaną została dopiero sprawozdaniem ostatniem komitetu, oraz przebiegiem dyskusyi, wszczętej na ostatniem ogólnem zebraniu. Taż sama więc już dyskusya powinnaby wydać dobre owoce, i wszelkim działaniom komitetu napowrót całą sympatyę ogółu przywrócić. Najpierwszym z tych owoców będą już odczyty,—drugim niech będzie wydawnictwo, — trzecim nadanie jak największej świetności dwutygodniowym wieczorom i zwrócenie cokolwiek więcej uwagi na piątki.

Nie wątpimy więc, że ujrzawszy w tych kierunkach stosowny postęp, będziemy mogli po skończonym roku znowu również gorącą jak dotąd dać afirmatywę komitetowi, w którego postępowaniu mimo wskazanych tu i owdzie braków, niepodobna niedopatrzeć szczerej troskliwości o dobro instytucyi, której przewodniczy.

Przejdźmy teraz do koncertów.

(Dokończenie nastąpi).

[1]) Patrz sprawozdanie komitetu T. M. za r. 1872.

[2]) Tyg. Illus. Nr 321.

OD WYDAWCY.

Bluszcz w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą i na tych samych warunkach.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy, wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

PRZEZ

Leona Rogalskiego

Dzieło to obejmujące w 2 tomach (18 zeszytach)

Dzieje literatury polskiej do najnowszych czasów, wydawanem jest *zeszytami* obejmującemi 5 — 6 arkuszy w formacie duże 8-vo.

Zeszyty 1—4 są do nabycia.

Cena zeszytu kop. 30.

(przedpłata nie jest wymaganą)

Co dni 15 ukazuje się zeszyt

Zeszytów będzie ośmnaście.

Dnia 15 października r. b. dzieło będzie w zupełności wydanem i sprzedaż zeszytowa ustanie.

Osoby z prowincyi nadsyłające należytość wprost do wydawcy, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Dzieło to jest do nabycia w księgarni M. Glücksberga (wydawcy) przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu JW. hr. Krasińskiego Nr 411 (7 nowy) oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

M. Glücksberg
Księgarz-Wydawca.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch** oraz **Kamiennej Woli**.

OD WYDAWCY.

Dla prenumeratorów pisma „*Bluszcz*“ z dodatkiem dzieł **J. I. Kraszewskiego**, dołącza się do numeru dzisiejszego, tom LIII ogólnego zbioru, to jest tom 3-ci powieści pod tytułem:

„KOMEDYANCI”

Powieści *J. I. Kraszewskiego* wychodzą tomami, a mianowicie 5 — 6 tomów kwartalnie. — Prenumerata wynosi dla prenumerujących *Bluszcz*, kwartalnie Rs **1** kop. **75**; — dla nieprenumerujących *Bluszczu* Rs. **2** kop. **50**.

Wydawnictwo to rozpoczęło się z dniem 1 października 1871 r.—Wyszło dotąd tomów pięćdziesiąt trzy.

TREŚĆ: **Bohaterstwo**, (dokończenie), przez Maryę Ilnicką. — **Zarnica**, (dalszy ciąg), powieść bulgarska spółczesna, przez Teod. Tom. Jeża. — **Korespondencya krakowska**. — **Przegląd teatralny**, przez Edwarda Lubowskiego.— **Dawid Livingstone**, (dokończenie).— **Korespondencya wiedeńska**, (dokończenie). — **Ruch muzyczny**, przez Jana Kleczyńskiego.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 11 (23) Марта 1874 г.